

Grzegorz Glinka

OSWOIĆ ŚMIERĆ



Grzegorz Glinka

OSWOIĆ ŚMIERĆ

2025

© 2025 Grzegorz Glinka

ISBN 978-83-973332-7-7

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie	5
ROZDZIAŁ I	7
<i>Jak pączek w maśle</i>	<i>7</i>
ROZDZIAŁ II	135
<i>W poszukiwaniu prawdy</i>	<i>135</i>
ROZDZIAŁ III	207
<i>Rozmowa z Tym, który jest... ..</i>	<i>207</i>
Wyprowadzenie	325
O autorze	327
Podziękowania.....	329

Wprowadzenie

Nigdy nie przypuszczałem, że to się wydarzy, ale jak to mówią – nigdy nie mów nigdy. Gdy pisałem *Kłamczuchę*, zakończyłem ją słowami: „*Ciąg dalszy nastąpi...*”. Zrobiłem to intuicyjnie, czując, że tytuł zobowiązuje. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak bardzo zmieni się moje życie.

Spotkanie ze Stwórcą, Ojcem Wszechmogącym, wszystko przyspieszyło. Nagle wpadłem w wir zdarzeń, które trudno racjonalnie wytłumaczyć.

Pewnego dnia, podczas przejażdżki rowerowej, zatrzymałem się w odludnym miejscu, by odpocząć. Ciało odpoczywało, ale umysł był w pełni gotowy. I wtedy to się stało – spłynęła do mnie historia. Nie pojedyncza scena, nie zarys, lecz cała fabuła. Widziałem ją wyraźnie, od pierwszego zdania aż po ostatnią stronę.

Nie przystąpiłem do pisania od razu. Chciałem, by wszystko dojrzało we mnie, przeniknęło każdą myśl i ułożyło się w naturalną całość. Czy będzie równie mocno, jak wcześniej? Zobaczymy. Ale odpowiedź na to pytanie znajdziesz dopiero na

ostatniej stronie książki pt. *Oswoić Śmierć*.

Tak czy inaczej – witaj w mojej przestrzeni. Jeśli tu jesteś, to zapewne nie przypadek. Chcesz wiedzieć, na co się piszesz? Przed Tobą historia męskiej przyjaźni, która nieoczekiwanie przeradza się w miłość i pożądanie. Mówi się, że jeśli z dwóch osób tylko jedna się rozwija, druga zawsze się zawija. Ale czy to prawda? Czy ta relacja przetrwa? Czy zdoła sięgnąć czegoś więcej?

Jakich emocji dostarczę Ci tym razem? Na tle tej opowieści odkryjesz alternatywne, skuteczne metody uzdrawiania. Myślisz, że nic Cię już nie zaskoczy? A może zainspiruję Cię do tego, żeby żyć inaczej? Może nawet lepiej? Zapraszam do mojego teatru.

ROZDZIAŁ I

Jak pączek w maśle

Zanim dowiedziałem się, że zostałem adoptowany, moje życie wyglądało zupełnie inaczej. Byłem spokojnym facetem, który – można by powiedzieć – miał poukładane życie. Pasja, którą zamieniłem w zawód, dzięki czemu nie musiałem pracować, całkiem niezła pozycja społeczna, świetny partner, marzenia, niezależność finansowa. Żyć, nie umierać. Jednak gdy dowiadujesz się, że jesteś owocem uprawiania kazirodczej miłości pomiędzy matką, a jej synem, wówczas świat może Ci się wywrócić do góry nogami. Tak też było w moim przypadku, ale wróćmy może do samego początku...

Wychowywałem się w dość zamożnej rodzinie, w związku z czym można śmiało stwierdzić, iż miałem z górki, ale czy oby na pewno? Ojciec z sukcesami prowadził swoją działalność gospodarczą zajmującą się wywozem śmieci, natomiast matka piastowała funkcję głowy pewnej fundacji, z której – jak niegdyś powiedziała – czerpała spore korzyści majątkowe.

Rodzice z braku czasu często zostawiali mnie u dziadków,

którzy kochali mnie nad życie i byli w stanie poświęcić dla mnie wszystko, a przynajmniej tak mi się wydawało. Gdy miałem sześć lat, senior rodu wyzwiał mnie na pojedynek.

– Dawaj młody, ścigniemy się spod domu do sklepu. Podejmujesz wyzwanie? – zapytał znienacka.

– A co dostanę, jeśli wygram? Dasz mi trochę kasy? – zasugerowałem, śmiejąc się od ucha do ucha.

– Niezupełnie. Babcia ci coś powie. Coś, czego nie wiesz, a powinienes wiedzieć.

– Czyli co?

– Jajco. Trzy, dwa, jeden, start!

No i wygrałem te zawody. Nie wiem czy dziadek dał mi wtedy fory, ale został z tyłu i nie mógł wyjść z podziwu tego, co się stało, podczas gdy seniorka rodu rzekła do mnie:

– Możesz być każdym, kim zechcesz, o ile w to uwierzysz. I tak samo możesz spełnić każde swoje marzenie, o ile tylko w to uwierzysz.

Nie ukrywam, że wówczas poczułem się dość dziwnie, miałem ciary na całym ciele, ale uwierzyłem w słowa staruszki, gdyż czułem, że jestem kimś wyjątkowym, kimś, kto zasieje prawdę i dobro na tym świecie.

Około rok później siedziałem wraz z rodzicami i siostrą w salonie. Oglądaliśmy wieczorne wiadomości, z których wynikało, że jest jakiś Antychryst na tym świecie, że już się narodził, że będzie dążył do zgładzenia Kościoła. To było dla mnie dziwne, bo poczułem się nim, naprawdę. I w nocy miałem sen. Śniło mi się, że stoję i pukam w wielkie drzwi, chcąc wejść do Królestwa Bożego, jednak nikt mi nie chciał otworzyć, ponadto usłyszałem czyjś głos.

Nie wiedziałem czyj, ale miałem takie przeczucie graniczące niemal z pewnością, że był to głos Najwyższego.

– To nie jest twój czas. Wracaj! Masz misję do zrealizowania!

Pamiętam, że obudziłem się cały mokry, to był środek nocy, nie wiedząc, co się dzieje, ale jak to bywa ze snami, szybko zapomniałem o tym, co mi się śniło.

Mieszkaliśmy w niewielkiej miejscowości o nazwie Kwanty, gdzie roiło się od dziwek, pijaków i narkomanów. Od czasu do czasu przy ulicy Chlewnej można było spotkać ekshibicjonistów, którzy dumnie prezentowali swoje narządy płciowe. To było obrzydliwe, dlatego też omijałem tamte okolice szerokim łukiem. Nieopodal starówki umiejscowiony był kościół – Parafia Rzymskokatolicka pw. Matki Boskiej Wielowymiarowej – którym zarządzał ksiądz Bogdan.

– Ludzie mówią, że to straszny pedofil i zboczeniec. Uważaj na niego, proszę – stwierdziła któregoś razu mama.

W wieku dziewięciu lat zostałem ministrantem, dziadek mnie namówił, niemniej jednak polubiłem ten kościelny klimat, specyficzny zapach, śmiechowe przyśpiewki. Czułem się po prostu fajnie, stojąc przy ołtarzu i służąc Najwyższemu.

– Ampułki dzisiaj przytrzymie – nakazał pewnego dnia kaznodzieja, zwróciwszy się do mnie.

– A wy weźmieta ręczniczek – kontynuował, spoglądając w kierunku innego chłopca.

Liturgia przebiegała bez większych zastrzeżeń, aż do momentu, gdy przyszło nam wykonać czynności służbowe.

– Co się gapisz? – wypalił niespodziewanie koleżka.

– Bo mam oczy – odpowiedziałem.

- To niech ci żaba wskoczy.
- A ci żmija do ryja, *Szympanse!*
- *Szympanse?!*

Wtedy obaj wybuchnęliśmy śmiechem, którego nie mogliśmy pohamować. Wraz z nami chichotała niewielka grupka wiernych, jednak nie wszystkim było do śmiechu. Spoglądając kątem oka na księdza Bogdana, miałem wrażenie, jakby dym wylatywał mu uszami. Zachowawszy kamienny wyraz twarzy, półszeptem przemówił, abyśmy zaraz po mszy świętej udali się do jego zakrystii.

- Kultura w punkcie zero! Pana Boga w miejscu świętym obrażata! Wstydu nie mata?! – kipiał ze złości podstarzały proboszcz.
- Przepraszam, ja... – wyjąkałem, będąc lekko wystraszonym.
- Nie przepraszaj, a spodnie ściągaj. Kara boska będzie! – grzmiał klecha.
- Ale proszę księdza... – wypalił *Szympans*.
- Żadne ale! Patenę lepiej przyniesie. I to w podskokach. Raz!
- Po co księdzu patena?
- Się kawaler nie interesuje, bo kociej mordy dostanie!

Kwadrans później mieliśmy czerwone tyłki. Tak – dokładnie tak, jak myślisz, mój drogi Czytelniku, ksiądz Bogdan spuścił nam manto. Bił nas pateną po gołych pośladkach, czerpiąc z tego niesamowitą przyjemność. Tę samą patenę, nieumytą rzecz jasna, przystawiał później wiernym do twarzy, którzy ochoczo – jeden po drugim – podchodzili do ołtarza, by skonsumować opłatek.

- Michał – rzekł w pewnym momencie poszkodowany chłopiec, wyciągając do mnie rękę.

– A nie *Szympons*?

– Czemu *Szympons*? Czy ja wyglądam jak jakaś małpa?

Prawda była taka, że wyglądał, a przynajmniej tamtego dnia, no dobra, może trochę częściej. Michał był strasznym zmarzluchem, toteż lubił zakładać na siebie różnego rodzaju futrzane ciuchy, co by mu cieplej było, tak twierdził, jednak warto też odnotować, iż z twarzy człowiek ten przypominał bonobo.

– Co z tym zrobimy? Masz jakiś pomysł? – zapytał, wyglądając na przejętego.

– Na odwet?

– No.

– No raczej. Naplujemy mu do wina!

Jak wymyśleliśmy, tak też zrobiliśmy. Trzeba przyznać, że byliśmy naprawdę okrutni, ponieważ powtarzanie tej czynności stało się naszym rytuałem. Oj, tak. Dosłownie w każdą kolejną niedzielę przychodziliśmy do kościoła około pół godziny przed nabożeństwem, a co za tym idzie byliśmy pierwsi, nikt nas nie widział, no i charaliśmy na ostro – czy to do kielicha, z którego księżulek łykał wino mszalne, czy to bezpośrednio do buteleczki, z jakiej nalewał sobie procentowego trunku. On się delectował smakiem, a my mieliśmy z tego niezły ubaw.

Nigdy nie byłem grzecznym dzieckiem. Lubiałem uprzykrzać się swoim rówieśnikom, często też sprawiałem psikusy nauczycielom w szkole. Ponadto pyskowałem i nienawidziłem się uczyć, co skutkowało tym, że mama często zostawała po wywiadówkach, żeby grzecznie wysłuchać, jakie to ziółko wychowała.

Rodzice zawsze chcieli, abym podążał własną ścieżką i

nikogo nie kopiował. Nie przelewali na mnie swoich niespełnionych marzeń, jak to czasami bywa w innych rodzinach. Mogłem robić wszystko, na co miałem ochotę i chyba właśnie dlatego byłem takim rozwydrzonym dzieckiem.

Ojciec *Szympansa* był trenerem padla, no i nie dziwota, że swoją pasją zaraził syna, który później i mnie wkręcił w tę śmieszną gierkę. Padel, najprościej ujmując, to kombinacja tenisa ziemnego ze squashem. Punkty w tej grze zdobywa się według tych samych zasad, jakie obowiązują w tenisie. Ze squasha natomiast zaczerpnięto grę w zamkniętym korcie. Brzmi ciekawie? Myślę, że warto spróbować, gdyż zabawa jest naprawdę przednia.

– Kim chcesz zostać, jak już będziesz dorosły, bo chyba nie księdzem, co? – zwróciłem się kąśliwie do kumpla po jednym ze słabszych treningów.

– Nie wiem jeszcze, a ty? Wiesz już?

– Chciałbym robić coś, czego nie robi większość. Chciałbym być unikatowy, inspirować ludzi, żeby w razie potrzeby podążały za mną tłumy.

– Piękne marzenie i oby ci się spełniło – podsumował Michał, klepiąc mnie po ramieniu.

Szympans był genialnym zawodnikiem i jednocześnie świetnym sparingpartnerem. Podczas naszych pojedynków nigdy nie było wiadomo, kto jest faworytem. Jeździliśmy na różne turnieje – zarówno mniejsze, jak i większe – część odbywała się w kraju, inne za granicą. Czasami wygrywaliśmy, czasem przegrywaliśmy, jednakże zawsze walczyliśmy do samego końca.

– Za miesiąc Mistrzostwa Europy. Myślisz, że damy radę? – spytał kolega.

– No, pewnie! Bo kto, jeśli nie my i kiedy, jeśli nie za miesiąc? – odpowiedziałem, wierząc w nasze umiejętności.

– A co, jeśli nie wygramy?

– Nie ma takiej opcji.

Odkąd pamiętam, dziadkowie wpajali mi do głowy, żeby – choćby nie wiem co – wierzyć w siebie i we własne możliwości. Mówili, że w życiu wszystko jest możliwe, a jedyne, co nas ogranicza przy spełnianiu marzeń, to nasza własna wyobraźnia... I chyba ciężko się z tym nie zgodzić.

– Piłka mistrzowska – przemówiła sędzina.

– Ja serwuję. Posłuchaj. Zagram prosto na niego, najmocniej jak potrafię. Jeżeli odbierze, ciśnij mu między oczy i będzie po sprawie

– stwierdził *Szympan*s, zasłaniając ręką usta.

– No, spoko. Spróbujmy. Gorzej jak przepuści.

– Nie zaryzykuje. To piłka meczowa. Mistrzowska.

To było dziwne, nie wiem jak to logicznie wytłumaczyć, ale po naszym serwisie i odbiorze przeciwnika, jakby czas się dla mnie zatrzymał. Wszystko stanęło w miejscu, włącznie z lecącą w moim kierunku piłką. Wówczas zdałem sobie sprawę, że mogę wszystko, więc podszedłem w odpowiednie miejsce i pocisnąłem, ile fabryka dała. I nagle wszystko ruszyło, zrobiło się znowu normalnie, podczas gdy piłeczka z ogromną siłą i prędkością trafiła w czoło jednego z naszych rywali, powalając go na sztuczną trawę z piaskiem kwarcowym. To był koniec! Wygraliśmy Mistrzostwa Europy Juniorów Młodszych w Padlu. Mieliliśmy zaledwie po jedenaście lat. Niesamowita historia, niezwykle zwykła, ale przede wszystkim nasza, za co jestem wdzięczny. Nagle staliśmy się rozpoznawalni, pojawiło się mnóstwo nowych możliwości,

sponsorzy.

Około pół roku później reprezentowałem swoją szkołę na międzywojewódzkich zawodach sportowych w biegu na czterysta metrów. Byłem bardzo szybki, pobijałem wszelkie rekordy szkoły, toteż wuefista nie bał się na mnie stawiać, co skutkowało wieloma medalami, jednak nigdy złotym. Tamtego dnia obsrał mnie ptak. Dobrze, że nawalił mi na plecak, a nie na głowę. Na chwilę przed startem poczułem nagłą potrzebę wypróżnienia się. Poszedłem gdzieś w krzaczory, łamiąc się tam niemiłosiernie, po czym wróciłem na swój tor. Czułem się lekki, towarzyszyła mi pewność siebie, pragnąłem tego złota. Wystartowaliśmy na dźwięk odpalanej broni palnej. Od samego początku przejąłem inicjatywę, biegnąc na sto procent swoich możliwości, jednak w końcówce poczułem, że słabnę, nogi odmawiały posłuszeństwa. Zostałem przegoniony przez jakiegoś typa, który wymijał mnie z szyderczym uśmiechem na twarzy. W tym momencie coś we mnie odpaliło i przypomniały mi się słowa babci, która swego czasu mawiała, że *„możesz być każdym, kim zechcesz, o ile tylko w to uwierzysz”*. No właśnie. I uwierzyłem, że jestem zwycięzcą. Poczułem się nim, by po chwili nabrać wiatru w żagle i wygrać ten wyścig. Byłem z siebie ogromnie dumny.

– W jakim klubie trenujesz? Kurde, pierwszy raz ktoś mnie tak odstawił tuż przed metą – przeżywał rówieśnik.

– W padla gram na co dzień, a biegam dla rozrywki – odpowiedziałem, czując jak pot spływa mi po tyłku.

I teraz Cię zaskoczę, mój drogi Miłośniku Książek, otóż po raz kolejny zdobyłem srebrny medal, nie złoty, niestety. A wiesz dlaczego? Bo startowały dwie grupy uczestników, a później

patrzono na czasy. Okazało się, że przegrałem niespełna jedną sekundą z kimś, z kim nie mogłem rywalizować w tym samym biegu, cóż... Mimo wszystko srebrny medal na międzywojewódzkich zawodach sportowych brzmi całkiem spoko. Wróciwszy do domu, zastałem w nim ojca i rozlewającego wódeczkę wujka Mietka. Mężczyźni siedzieli przy kuchennym stole i dyskutowali o jakichś pierdołach.

– No i co, synku? Jak ci poszło? – dopytywał zaciekawiony tata.

– Całkiem nieźle. Srebrny medal zdobyłem – odparłem w okamgnieniu.

– O! To elegancko, gratuluję! – wtrącił się wuj, uściskawszy moją dłoń.

– Uuuu! Tylko srebro. A na złoto nie było cię stać? – wypalił podпиты ojciec.

Poszło w pięty, oj, poszło. Nawet teraz coś czuję w ciele, gdy wracam do tego myślami, zatem trzeba będzie uwolnić jakieś emocje. Więcej na temat uwalniania zablokowanych w ciele emocji przeczytasz później, wszystko po kolei, a tymczasem wracamy do punktu wyjścia.

Nie ukrywam, że ojczulek podciął mi wtedy skrzydła, skrzydła, które się rozrastały i świeciły nieograniczonym potencjałem, wszak po tym, co usłyszałem, odechciało mi się wszystkiego. Taka prawda. Słowa są tym, co może niesamowicie uskrzydlić albo tym, co może wbić człowieka w ziemię, a nawet go zabić. I pewnie nikogo nie zaskoczę, gdy powiem, że to były moje ostatnie zawody sportowe w życiu.

Wkrótce potem podziękowałem za współpracę trenerowi padła, kończąc tym samym swoją dość krótką karierę, która

przecież mogłaby się różnie potoczyć.

– Jesteś pewien? – niedowierzał *Szympan*s.

– Moja decyzja jest nieodwołalna. Brakuje mi motywacji – powiedziałem, odczuwając przy tym pewien dyskomfort mentalny.

Prokrastynacja to notoryczne odkładanie czegoś na później. Ponoć zrobiono z tego chorobę, choć śmiem twierdzić, że wymyślił ją jakiś leń, tylko i wyłącznie po to, aby móc usprawiedliwiać swoje nieróbstwo. Zostańmy tu na chwilę... A czy to nie jest tak, że uciekamy od czegoś, co jest nasze, w czym czujemy się mocni, bo nie chcemy skonfrontować się z porażką? Z krytyką, jakiej doświadczyliśmy wcześniej, gdy byliśmy z siebie zadowoleni? Myślę, że odpowiedź nasuwa się sama.

W wieku trzynastu lat w końcu mogłem zacząć chodzić po kołędzie, albowiem ksiądz Bogdan nie zabierał ze sobą nikogo, kto nie przekroczył odpowiedniej liczby wiosen. Warto dopowiedzieć, iż wierni należeli do osób wyjątkowo hojnych, niemniej jednak nie brakowało mi pieniędzy. Rodzice mieli ich mnóstwo i dawali mi je zawsze, gdy potrzebowałem, ale dużo większą frajdę sprawiało mi, kiedy sam mogłem zarobić na własne potrzeby.

– Twoja stówka, zasłużone – rzekł któregoś razu proboszcz, obdarzwszy mnie premią.

– Może wejdzie do mnie na plebanię? Pokażę mu to i owo – kontynuował, przygotowując grunt pod coś, co nieetyczne.

– Może innym razem, proszę księdza – odpowiedziałem, mając z tyłu głowy ostrzegawcze słowa mamy.

– A Mariuszek? Wejdzie ze mną do środka? Powie, co myśli.

– Ja? W sumie... mogę – stwierdził starszy o trzy lata kompan.

Niezręcznie mi o tym pisać, ale prawdopodobnie była to jedna z najgorszych decyzji, jakie chłopak podjął w swoim życiu. Wkrótce potem z rozerwanym na kilka centymetrów odbytem trafił na pogotowie, gdzie zaszyto mu, co trzeba. To wydarzenie nie mogło pozostać bez echa, stąd też sprawiedliwości stało się zadość. Legenda głosi, że ksiądz Bogdan trafił do więzienia, ale wcale bym się nie zdziwił, gdybym go kiedyś spotkał w niewielkiej parafii na jakiejś pipidowie.

Nie czułem potrzeby przynależenia do Kościoła, więc odszedłem. Moje życie zmieniło się nie do poznania, bo jeszcze przed chwilą stałem przy ołtarzu, grałem w padla, a chwilę później gniłem pod blokiem i z jakimiś dziwnymi typami żłopałem pierwsze w swoim życiu piwsko.

Staczałem się, nie da się ukryć. Zacząłem nosić dresy, najczęściej z kreszu, do tego sportowe buty i obowiązkowo złoty łańcuch na szyi. Pojawiły się niechciane awantury, mordobicia, konflikty z prawem. Z biegiem czasu potrafiłem wypić ponad dwadzieścia butelek piwa, by później pójść jeszcze do lokalu i stawić czoła flaszcze, bo ktoś rzucił mi wyzwanie, wszak z reguły kończyło się na maksymalnie dwóch kieliszkach. Później mnie odcinało, jakby ktoś wyłączał światło.

Lubiłem doświadczać, toteż próbowałem przeróżnych narkotyków, a że miałem na nie kasę, to płynąłem, owszem, nie zaprzeczam. Ziółka, pigułki, proszki, kwasy, grzybki halucynogenne... To wszystko było na porządku dziennym.

W dniu swoich szesnastych urodzin zażyczyłem sobie, aby ten szczególny dzień spędzić w gronie najbliższych znajomych. Rodzice poszli mi na rękę, pakując się i wyjeżdżając na wczasy do

Egiptu. Pech chciał, że gdy wrócili, to nie poznali swojego mieszkania. Meble były całkowicie poprzestawiane. Te z kuchni znalazły się w moim pokoju, natomiast te z mojego pokoju częściowo wylądowały na balkonie. Dobrze, że nikt nie próbował przestawić kibla, bo mogłoby się skończyć niespodzianką.

– Wiesz, synu... Nic z tego nie rozumiem, co tu się do kurwy nędzy odjebało! Meble ok, ale żeby ściany były popękane?! – przemówił totalnie rozgoryczony ojciec, kiwając głową na boki.

Niespełna dwa lata później wybrałem się na imprezę do *Wazeliniarza*, który był moim serdecznym znajomym i jednocześnie kuzynem jednego z kolegów z liceum. *Szorstki*, bo o nim mowa, towarzyszył mi w podróży do miejsca docelowego, jednak w pewnym momencie, gdy wyszliśmy z lokalnego sklepu, natrafiliśmy na małe niedogodności. Jakiś miejscowy wandal próbował mnie zaatakować i z rozmachem zgładzić z powierzchni ziemi, niemniej jednak zrobiłem unik, co zaowocowało upadkiem awanturnika. Leżąc na chodniku, darł się w niebogłosy:

– Pamiętasz mnie?! Ty chuju jebany! W zeszłym roku! pamiętasz?! Zajebiemy was wszystkich! Poczekamy aż będziecie wracać!

Średnio pamiętałem, co poeta miał na myśli, ale pewnie dlatego, że rok wcześniej zeszytniałem jeszcze przed początkiem imprezy. Były jakieś wiejskie porachunki, ale pamiętam jak przez mgłę. Pamiętam też, że miałem podartą kurtkę. Nic więcej.

Tym razem bawiłem się równie dobrze, choć starałem się zachowywać fason, nie chciałem wracać do domu na zerwanym filmie. Było nas pięciu, może sześciu, nie pamiętam dokładnie, ale szliśmy w kierunku przystanku autobusowego, byliśmy zmęczeni i chcieliśmy spać, chcieliśmy do swoich łóżek. Co ciekawe, tamten

typ nie żartował i faktycznie czekał na nas z kolegami. I nagle zaczęła się bójka, ktoś wylądował w rowie, ktoś leżał i kwiczał na środku ulicy. Same wyzwiska tudzież inne brzydkie słowa unosiły się w powietrzu, a ja stałem gdzieś tam z boku i przyglądałem się zaistniałej sytuacji, albowiem miałem na sobie nowiutkie i bielutkie dresiwo, w związku z czym nie chciałem się pobrudzić, jednakże w pewnym momencie zauważyłem padającego na chodnik przeciwnika, który miał spory problem, ażeby się podnieść. Wnet pomyślałem, że zasadzę mu kopa w głowę, znokautuję, soczyście, z całej siły, a siłę w nogach miałem i gdybym trafił, to pewnie bym go zabił, ale chyba jakaś opatrność musiała nade mną czuwać, bo się poślizgnąłem i wylądowałem na tyłku. Pamiętam wzrok tego typu, to przerażenie w jego oczach. Miał szczęście, ale i ja je miałem, bo w przeciwnym razie siedziałbym teraz w pierdlu. Nieoczekiwanie zatrzymał się przy nas niewielki busik, z którego wysiadł kierowca i nakazał mojej ekipie ładować się do środka. Nie znaliśmy człowieka, ale być może uratował nam wszystkim życie, jakkolwiek to brzmi, bo przecież mogło skończyć się różnie.

W międzyczasie, wiadomo, wciąż trzymałem się z *Szympansem*, który lubił wyzwania, stąd też dość szybko dał się sprowadzić na złą drogę, by od czasu do czasu poczuć adrenalinę, jaka wcześniej towarzyszyła mu na korcie. Ojciec go za to znienawidził, mnie pewnie też, ale miałem na to totalnie wywalone. Nie zamierzałem przejmować się czymś, co niewiele wносиło do mojego życia.

– Ty, a może pójdziemy na dziwki? Ja stawiam, w końcu masz dziś urodziny – wypalił znienacka Michał.

– Na dziwki mówisz? Czemu nie! Osiemnastkę ma się raz w życiu, więc zabawmy się – odpowiedziałem, odczuwając euforię i podekscytowanie.

Tego wieczoru przestałem być prawiczkim i poczułem, że mogę jeszcze więcej. Wkrótce potem rzuciłem szkołę, jednak moja decyzja nie spodobała się rodzicom, którzy postanowili przykręcić mi kurek z pieniędzmi, czego pokłosiem było to, iż zacząłem handlować narkotykami. Łatwy biznes, ale trochę mnie przerastał, zwłaszcza wtedy, gdy dowiadywałem się, że jeden z ziomków, by się wybielić, wsypywał drugiego. Wytrzymałem tylko kilka miesięcy, po czym zostawiłem to gównu z myślą, że zajmę się czymś innym, bardziej pożytecznym, wszak życie zweryfikowało moje plany.

– Brat, a ty długo jeszcze zamierzasz siedzieć starym na garnuszku?

– spytała któregoś razu siostra.

– Myślę, że nie krócej od ciebie – zripostowałem.

Aniela była ode mnie o dziewięć lat starsza. Rodzice kupili jej dom, w którym zamieszkała z dwójką dzieci, spłodzonych przez dwóch osiedlowych kawalerów. Czerpała jakieś zasiłki od państwa, mama z tatą trochę pomagali, i to jej w zupełności wystarczało.

– Bo ty taki żartowniś jesteś, to może byś żarty zaczął sprzedawać?

– kontynuowała.

– Jak to sprzedawać?

– No, tak to. Możesz albo pisać i sprzedawać komuś, kto występuje na scenie, wiesz, kabareciarze, komicy, jest ich mnóstwo. Ewentualnie możesz samemu rozśmieszać ludzi, oczywiście za pieniądze.

– Ty, siostra, co ci powiem, to ci powiem, ale powiem ci, że dobrze prawisz. Masz łeb jak sklep.

I wtedy zapaliła mi się lampka w głowie. Dostrzegłszy szansę na lepsze jutro, poszedłem do kuchni, aby wyrzucić opakowanie po chipsach do śmieci.

– Mamo, a gdzie jest pojemnik na plastik?

– Nie ma. Wyrzucić gdziekolwiek.

– Jak to gdziekolwiek? Przecież segregujemy śmieci.

– Ojciec mówi, że później i tak wszystko ląduje na jednej taśmie, więc się nie przejmuj.

– Naprawdę?

– Toć mówię. Po co miałabym kłamać? Jak nie wierzysz, to go zapytaj.

– A kiedy wróci z pracy?

– Mówił, że będzie na obiad.

Skoro tata twierdził, że tak jest, to pewnie miał rację. W końcu od lat pracował w biznesie, zatem znał się na rzeczy, co nie zmienia faktu, że mimo wszystko byłem lekko zdziwiony.

– No, a ty? Jaki masz plan na siebie? – zwróciłem się do siostry.

– Jestem w trzeciej ciąży. Tylko póki nie widać, to siedź cicho.

– Co ty opowiadasz? Kto jest ojcem?

– No właśnie w tym problem, że nie wiem, ale przynajmniej *Tysiąc Plus* dostanę!

Początkowo nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem, ale później stwierdziłem, że to nie moja sprawa i odpuściłem, nie wnikając więcej. W końcu dziadkowie niejednokrotnie wspominali, że każdy ma prawo żyć po swojemu, a drugiemu człowiekowi nic do tego.

– Ty, a co u twojej siostry Anieli? – zapytał nieoczekiwanie *Szympanś*.

Pamiętam, że wówczas siedzieliśmy w jego piwnicy. Piliśmy ruską wóde, paliliśmy holenderskie zielsko i oglądaliśmy niemieckie pornusy.

– Czemu pytasz?

– Dawno nic o niej nie mówiłeś.

– Bo i nie ma o czym.

– Znowu będzie miała bachora?

– Skąd ten pomysł?

– Widziałem ją kilka dni temu w Galeriance, jak paradowała z brzuchem – cieszył się Michał, mając na twarzy szyderczy uśmiech.

– Weź ty mi powiedz, chłopie, o co tutaj chodzi? Ładna dziewczyna, wydawałoby się, że całkiem mądra, ale za chwilę będzie miała trójkę dzieci z trzema różnymi facetami. Więc śmiem twierdzić, że albo dobrze się rucha i robi to dla sportu z kimkolwiek popadnie, albo ma nasrane we łbie i nikt z nią nie może wytrzymać – kontynuował.

Nie skomentowałem tego, bo zwyczajnie nie wiedziałem, co powinienem powiedzieć w danym momencie, ale czułem całym sobą, że obie odpowiedzi były prawidłowe. Cóż, nigdy nie rozumiałem swojej siostry. Żyliśmy – można by powiedzieć – jak pies z kotem, wszakże tamtego dnia postanowiłem, że choćby nie wiem co, to nigdy nie będę z laską, która ma pewną liczbę dzieci z taką samą ilością facetów.

Niedługo później napisałem pierwsze w swoim życiu żarty i nie ukrywam, że strasznie mnie to wzbilo na wyżyny. Moje dowcipy przypadły ludziom do gustu, toteż zainteresowanie nimi

z dnia na dzień robiło się coraz większe. Strasznie mnie to jarało, bowiem łączyłem przyjemne z pożytecznym i nie wymagało to ode mnie dużego nakładu pracy, w zasadzie żadnego, to była pasja. Robiłem to, co kochałem i zarabiałem na tym całkiem niezły hajs. Tworzyłem w głowie różne scenariusze, by kolejno przelewać je na papier. Wypaliłem przy tym mnóstwo zioła, wychlałem przynajmniej trzy wanny wódki. Za każdym razem towarzyszyły mi same wzniosłe uczucia i emocje. Śmiałem się ze swoich żartów, śmiałem się z samego siebie. Najważniejsze, że ludziom się podobało, choć uważam, że niektóre żarty można było opowiedzieć inaczej, a co za tym idzie lepiej.

Rozśmieszanie ludzi jest sztuką, to jak praca w teatrze, tutaj nie ma miejsca na błędy, wszystko musi się zgadzać. Modulacja głosu winna być właściwa, tak samo gestykulacja czy mimika. Jeżeli któryś z komików nie odegrał swojej roli w taki sposób, jak ja ją czułem, gdy pisałem, wówczas żart nie był kompletny, co przekładało się na mniejszą ilość śmiechu pośród uczestników spektaklu. Niemniej jednak niejednokrotnie byłem mega zdziwiony, gdyż z moich usług korzystało wielu znanych dowcipnisiów, których z grzeczności pozwolę sobie nie wymienić z imienia i nazwiska. Czemu przychodzili do mnie? Czy wcześniej kupowali żarty od kogoś innego, czy pisali je sami? Może się wypalili, a może zwyczajnie byli chujowi i chcieli zabłysnąć? Pytań w mojej głowie pojawiało się całe mnóstwo, odpowiedzi na nie znacznie więcej, ale która była prawidłowa? Myślę, że nie miało to większego znaczenia.

Istotne, że biznes się kręcił, co zaowocowało tym, że w końcu wyprowadziłem się z domu. Wynająłem mieszkanie na

drugim końcu miasta, z dala od rodziców, z dala od wszystkich poza *Szympansem*, który ze mną zamieszkał. Chciałem zmienić swoje życie, choć trochę, ale prawda jest taka, że nie było mi łatwo wyjść z nałogów.

Pewnego dnia przyjaciel zaproponował, abyśmy wspólnie wybrali się na rozwojową konferencję o nazwie *Ogarnij Swój Dylizans*, jaką poprowadzić miał nijaki Grzegorz Glinka. Wydarzenie, które miało nas, a przynajmniej mnie, zainspirować do zmian, lecz nic z tego nie wyszło, gdyż dzień wcześniej trochę popiłem i koniec końców wylądowałem na izbie wytrzeźwień. Widocznie tak miało być, bo przecież wszystko dzieje się w odpowiednim dla nas czasie, dokładnie wtedy, gdy jesteśmy na to gotowi, a ja wówczas byłem nieprzygotowany.

Michał sprawiał wrażenie osoby bardzo ambitnej. Rozpoczął studia, miał plany na przyszłość, chciał zostać menadżerem w jakiejś prestiżowej firmie. Twardo stąpał po ziemi, ale ze względu na to, że znał się ze mną, potrafił nieźle odpłynąć.

– Jestem pijany jak messerschmitt i kręci mi się w głowie. Zrobimy przerwę czy gramy dalej? – rzekł do mnie któregoś razu podczas towarzyskiej gry w warcaby.

– Ja ci do gęby nie lałem, nie moja wina, gramy dalej. Najwyżej przegrasz kieszonkowe od rodziców – odrzekłem, będąc w podobnym stanie.

Ostatecznie rywalizacja zakończyła się remisem, a pulę postanowiliśmy przepić na mieście. Przed wyjściem z domu nafurkaliśmy się jeszcze towarem, jaki w tamtych czasach rozprowadzał *Bazant*, towarem, który dzielił i rządził w całych Kwantach, a nawet okolicach. Ponoć ktoś kiedyś powiedział, że...

„co za dużo, to nie zdrowo”. W drodze na miasto rzygaliśmy dalej, aniżeli widzieliśmy, wszak będąc już na miejscu wszystkie dupy były nasze, a przynajmniej tak nam się wtedy wydawało.

– Zaruchałbym coś, a ty? – zwróciłem się do kompana.

– No, ja też. Problem w tym, że po tym unikatowym proszku raczej nam nie stanie, ale możemy spróbować. Widzisz tamtą sukę? – usłyszałem po chwili.

– Którą? Bo mi się mnożą w oczach te cipy, jedna po drugiej.

– Tamtą z tym tatuażem na łydce.

– Przynajmniej trzy takie widzę.

– No to wyruchamy je wszystkie! – roześmiał się głośno *Szympanś*.

Tak naprawdę to widziałem tylko jedną niewiastę, ale byłem tak porobiony, że mózg podsylał mi zupełnie inne obrazy rzeczywistości niż ta, w której znajdowałem się obecnie. Nie ukrywam, że Michał na przestrzeni ostatnich lat nieźle wyprzystojniał, trzeba mu to przyznać, i z twarzy nie przypominał już bonobo. Dziewczyny za nim szalały, na czym korzystałem osobiście, choć uważam, że i mnie niczego nie brakowało. Lubiłem, kiedy manierki poprawiały sobie włosy na mój widok. Wiedziałem wtedy, że chcą mi się podobać, że nie jestem im obojętny, toteż – nie ukrywam – z łatwością podbijałem na bajerę, a później... Później bywało różnie.

– Cześć. Jestem Michał, napijemy się czegoś? – zaczął odważnie przyjaciel, podchodząc do dziewczyny z tatuażem na łydce.

– Hej, hej, przystojniaku. Mam na imię Sandra. Wiesz, ja nie piję tanich trunków, a to miejsce wygląda mi na dość ubogi lokal – odpowiedziała, oblizawszy się językiem po ustach.

– To co tu robisz?

- Czekałam na ciebie, mój ty książę.
- W domu mamy brandy i whisky. Może do nas wpadniesz?
- Przepraszam, ale do kogo? Jacy my?
- No, do mnie i mojego ziomka. Stoi kapkę dalej, oparty o framugę.
- Podoba mi się. Chodźmy.

Siedząc przy kieliszku, miałem wrażenie, że pasują do siebie, że być może coś z tego będzie, ale to, co wydarzyło się później, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Dupeczka pierwszej nocy przespała się z przyjacielem, natomiast z rana obciągnęła mi gałę aż po same jaja, tak o, na dzień dobry. Później zrobiliśmy sobie trójkąt, a jeszcze później okazało się, że Sandra jest luksusową prostytutką i robiła to z nami za pieniądze. Niemałe zresztą.

- Fajni byliście, ale pięć tysiączków się należy – zakomunikowała bezdusznie.
- Ile, kurwa?! – dziwił się *Szympan*.
- Po dwa i pół tysiąca złotych za noc, od głowy, taki mam cennik, a że jest was dwóch, to wychodzi równe pięć tysięcy. Mile widziane napiwki.
- Masz tupet, ale jeśli mam być szczery, to niezła z ciebie dziwka, dobrze chodzisz i znasz się na rzeczy. Kartą czy gotówką? – wtrąciłem swoje trzy grosze, podpytując o dostępne metody płatności.
- Najlepiej gotówką.
- To musiałbym skoczyć do banku, poczekasz?
- Mogę zaczekać. Znacie może kogoś, kto ma pokój do wynajęcia? Za kilka dni kończy mi się umowa najmu i szukam czegoś, właściwie to na już.

- Jeżeli Michał się zgodzi, to myślę, że mogłabyś zamieszkać u nas. Michaś, co myślisz?
- Jak dla mnie, spoko – wybrzmiał stanowczy głos *Szympansa*.
- Naprawdę? W sumie to nawet fajnie tu macie, nieźle się urządziliście, a ile chcecie za pokój? – cieszyła się kurtyzana, przeżuwając gumę.
- Za darmoszkę, no nie? – przemówił kompan, spoglądnąwszy w moim kierunku.
- No pewnie, że tak, ale pod jednym warunkiem – rzuciłem wyzwanie.
- Jakim? – spytała Sandra.
- Zrobimy sobie tak zwaną „wymianę barterową”. Zamieszkasz u nas całkowicie za darmo, ale w zamian my będziemy mieli darmowy seks. I co ty na to? Pasuje ci taki układ?
- Tak.
- Chcesz się u nas zameldować?
- Naturalnie.
- Masz jakieś nazwisko?
- Giepunkt.
- Czyli punkt G od tyłu? To wiele wyjaśnia. Rozumiem, że lubisz w dupala – wzięło mnie na żarty.
- A tak właściwie, to dlaczego taka maniura jak ty, która zarabia tyle, ile zarabia, chce mieszkać na pokoju, a nie wynająć, załóżmy, całe mieszkanie? – wypalił Michał.

Jej odpowiedź była zaskakująca i nie ukrywam, że trochę nami wstrząsnęła – mocna historia – ale z upływem czasu zapomnieliśmy, czego doświadczyła albo po prostu nie chcieliśmy o tym pamiętać.

Tak czy siak, najważniejsze było to, że mieliśmy seks, jakiego mógłby nam pozazdrościć dosłownie każdy. Wyobraź sobie, mój drogi Czytelniku, że uprawiasz miłość w takiej pozycji, jakiej chcesz, i to za każdym razem. Do tego trójkąty, czworokąty, pięciokąty, a nawet sześciokąty, jako iż laska niejednokrotnie po pracy przyprowadzała do domu koleżanki z branży, no i się działo...

Jednak tak to już w życiu bywa, że nic nie trwa wiecznie. Po upływie kilkunastu miesięcy zaczęliśmy się sobą nudzić.

– Moglibyście w końcu przestać żreć te ekstazy? Żadnego z was pożytku, miękkie faje! – grzmiało nasze kurwiszczce.

Miałem nawet takie wrażenie, że trochę jej się w głowie zagotowało, bo bywały takie dni, kiedy chciała nami dyrygować, czego absolutnie nie akceptowaliśmy, więc postanowiliśmy ją – delikatnie mówiąc – uruchomić.

– Ja pierdolę, no nie wierzę! Wy jesteście kompletnie pojebani! – nie dowierzała własnym oczom.

Ale my nie robiliśmy niczego złego, po prostu oglądaliśmy męskie porno. No, dobra, masturbowaliśmy się przy tym, ale tylko i wyłącznie dlatego, żeby ją wkurwić. Sandra twierdziła, że może zaspokoić każdego, a że łączyły na wyjątkowe relacje, to jej ego musiało poczuć się skrzywdzone, wręcz poniżone.

– Wyprowadzam się! – wrzasnęła, spoglądając złowrogo w naszym kierunku.

– I nie zapomnijcie pójść do dentysty! – dodała kąśliwie, zatrzaskując drzwi od swojego pokoju.

Przed północą nie było po niej śladu, przepadła niczym kamień w wodę. I dobrze, bo przynajmniej nie musieliśmy się z nią

więcej mężczyź, atmosfera się nieco przerzedziła.

– Czemu ty nigdy nie miałeś dziewczyny? Może jesteś gejem? – analizował *Szympana*, spoglądając w sufit.

– Nie wydaje mnie się.

– A skąd wiesz? Przecież nigdy nie próbowałeś, więc nie możesz powiedzieć, że nie jesteś.

– A ty jesteś?

– Nie wiem, a chcesz spróbować?

– Myślisz?

– No i będzie wiadomo.

– Sam nie wiem.

– Może dokończymy oglądać tego gejowskiego pornusa?

– Dobra.

– Zajaramy coś?

To, co wydarzyło się później, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Nigdy bym nie przypuszczał, że seks z mężczyzną może być aż tak przyjemny. Michaś dobrze wiedział, gdzie popieścić, żeby było cacy. Nie wiem skąd, ale znał się na rzeczy. Być może dlatego, że był facetem, a być może coś przede mną ukrywał. – Ale masz ciasne dupsko – zakomunikował w pewnym momencie, starając się wejść we mnie.

– Nie to, co twoje. Szerokie i głębokie. Spluń do rowa, no i jedziesz!

– I co, dobrze?

– Nooo! Ja pierdolę. Jesteśmy pedałami, czaisz?

– O! Przepraszam, ja jestem biseksualny.

– W takim razie... ja też – podsumowałem, uśmiechnąwszy się od ucha do ucha.

Zakochaliśmy się w sobie już po pierwszym stosunku, to

było dziwne, ale mimo wszystko prawdziwe i dość szalone, bo – jak to się mówi – miłość nie wybiera.

– Śmierdzi ci z japy. Mógłbyś umyć zęby, zanim zaczniemy się całować? – zasugerowałem.

– Przecież myłem przed chwilą, ale widzę, że ty niekoniecznie.

– Co niekoniecznie? Przecież widziałeś.

Następnego dnia, trzymając się za rękę, poszliśmy do stomatologa, gdzie okazało się, że obaj mamy próchnicę. Ja miałem do wyleczenia sześć zębów, natomiast mój partner siedem. To były skutki zażywania twardych narkotyków, niestety.

– A może mi pan przy okazji spiłować dolne czwórki? – spytał *Szympan*, zadziwiając nie tylko mnie, ale i samego dentystę.

– Nie rozumiem – odpowiedział fachowiec.

– Bo wystają. Zróbmy tak, żeby było na równi z innymi.

– Jesteś pewien?

Nie wiem czy to był dobry pomysł, ale skoro Michaś czuł się z tym lepiej, to spoko. Fakt, trochę mi zajęło, zanim przyzwyczałem się do jego nowego uśmiechu, jednak najważniejsze, że mieliśmy zdrowe uzębienie i nie śmierdziało nam z buzi.

– Może wyjedziemy do innego miasta? – wybrzmiał niespodziewanie głos partnera.

– Dokąd? Po co? Źle ci się żyje w Kwantach?

– Nudno tu jakoś.

– To znajdź sobie zajęcie, jakąś pasję.

– Potrzebuję zmian, duszę się tutaj.

– A studia?

– Przeniosę się na zaoczne, będę dojeżdżał co jakiś czas.

- Twoja matka się za tobą zapłaczę.
- Poradzi sobie. Musi zrozumieć, że jestem dorosły.
- Dasz sobie radę bez niej? A co, jeśli starzy utną ci kieszonkowe?
- Znajdę jakąś pracę, poradzimy sobie.
- Dokąd chcesz wyjechać?
- Do Świniopas.
- Świniopasy? Gdzie to jest?
- Dwadzieścia kilometrów za Rajtami.
- Rajty to ta miejscówka, gdzie mieści się najstarsze więzienie w kraju? To te turystyczne miasteczko?
- No.
- A czemu akurat tam?
- Bo zawsze chciałem tam się znaleźć, ale nigdy nie było mi dane.
- Kochasz mnie?

Niespełna pół roku później zapakowaliśmy furę i wyruszyliśmy w drogę. W międzyczasie *Szympan*s ogarnął nam mieszkanie i dogadał się odnośnie pracy w lokalnym lumpeksie. Ja po przeprowadzce zamierzałem dalej pisać żarty, pracując z domu, choć nie ukrywam, że chodziło mi po głowie, aby w niedalekiej przyszłości spróbować swoich sił na scenie.

- Nie odbiera - przemówił niepewnym tonem Michaś.
- Wyluzuj, pewnie zaraz oddzwoni.
- Myślisz?
- Nie pierdol, ciśnij go lepiej.

Człowiek, od którego mieliśmy wynająć mieszkanie, ostatecznie wysłał nam wiadomość tekstową, z której wynikało, że przeprasza, że o nas zapomniał i niechcący wynajął je komuś innemu. Była niedziela, grubo po osiemnastej.

- Co robimy? – zapytałem, będąc nieco przejętym.
- Dawaj do McSraka, siądziemy kulturalnie, zjemy coś i na pewno ogarniemy temat.
- Przekonałeś mnie, ale weź ty mi powiedz, jakim skurwielem trzeba być, żeby odjechać komuś taki numer?

Przed godziną dwudziestą trzecią wprowadziliśmy się na pierwsze piętro dwudziestopiętrowego wieżowca ulokowanego w samym centrum miasta. Nie dość, że było skandalicznie drogo, to na domiar złego drzwi od balkonu, jaki znajdował się w naszym pokoju, nie domykały się, tak że przy minus siedemnastu stopniach na zewnątrz było w chuj zimno.

Następnego dnia tuż o poranku *Szympons* poszedł do pracy, natomiast ja wytoczyłem się z łóżka dopiero przed południem, po czym poszedłem do łazienki, by się trochę odświeżyć. Wychodząc, moim oczom ukazała się ona. Miała na sobie jedynie piżamę, była bez makijażu, wyglądała naprawdę zjawiskowo. Stałem jak wryty, patrząc jej głęboko w oczy, podczas gdy mój penis z sekundy na sekundę robił się coraz twardszy.

- Cześć – przemówiła, roztrzepawszy swoje włosy.

Wówczas poczułem jak miękną mi nogi, nie mogłem wydobyć z siebie ani jednego słowa. Miała hipnotyzujący wzrok, piękne szafirowe oczy, ponadto poruszała się z gracją. Byłem pewien, że zostałem trafiony strzałą Amora.

- Hej – odpowiedziałem niepewnie.
- Jak masz na imię?

Studiowała architekturę wnętrz, ale akurat tego dnia miała wolne. Zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, dosłownie o wszystkim i o niczym, nie mając przy tym żadnych hamulców. Opowiadała o

swoich marzeniach, o planach na przyszłość. Mówiła, że chce zostać freelancerką mającą własne biuro, pragnęła podróżować. Zaimponowała mi, albowiem lubiłem osoby bardzo ambitne. Być może to śmieszne, ale czułem się przy niej naprawdę wyjątkowo. Przegadaliśmy ze sobą prawie cały dzień i nie wiadomo, kiedy to minęło. Nie mogliśmy oderwać od siebie wzroku aż do momentu, w którym zorientowaliśmy się, że do domu wrócił Michał. Nie był ślepy, w związku z czym od razu zorientował się, co w trawie piszczy.

- Co to za typiara? – dociekał przy kolacji.
- *Maggie*. Mieszka z nami.
- Wygląda na lesbę i w ogóle. Jak dla mnie, to jakaś aseksualna jest.

Byłem zakochany zarówno w nim, jak i w niej, a jeszcze nie tak dawno wydawało mi się, że nie można kochać dwóch osób jednocześnie. Cóż, okazało się jednak, że można.

- Wiesz... Myślę, że musimy poszukać jakiegoś innego lokum – usłyszałem któregoś razu z ust swojego partnera.
- Dlaczego?
- Bo piździ tu niemiłosiernie. Poza tym wkurwia mnie ta dupa.
- O co ci chodzi?

Dwa tygodnie później poleciliśmy do Niemiec, by wziąć ze sobą ślub. Oczywiście to wydarzenie zaplanowaliśmy wiele miesięcy wcześniej, ale mimo to postanowiliśmy nikomu o tym nie wspominać, bo i po co?

- Możecie się pocałować – rzekł w tym szczególnym dla nas dniu czarnoskóry kapłan z wąsem.

Michał ogarnął nam znajdujące się w zupełnie innej części miasta mieszkanie. Wyprowadziliśmy się z „kostnicy”, choć można

Prawdziwa przemiana nigdy nie zaczyna się w świetle reflektorów. Zaczyna się w ciemności. W samotności. W miejscu, gdzie wszystko się zawaliło.

Choć to kontynuacja losów z „Kłamczuchy”, „Oswoić Śmierć” to przede wszystkim książka o upadku. O śmierci za życia, stracie, której nie da się zapomnieć, i wstydzie, którego nie sposób zmyć z pamięci. To także opowieść o uczuciu przekraczającym granice – miłości mężczyzny do mężczyzny i mężczyzny do kobiety.

Grzegorz Glinka z odwagą i brutalną szczerością prowadzi czytelnika przez mrok ku nadziei, która potrafi rozbłysnąć tam, gdzie wcześniej była tylko pustka.

Poruszająca. Autentyczna. Wciągająca od pierwszego zdania. Dla tych, którzy nie boją się stanąć w prawdzie i wciąż chcą wierzyć, że wszystko może zacząć się na nowo.

Dla mnie ta książka to majstersztyk.

— ANNA REMISZ, AUTORKA KSIĄŻKI „KRONIKI LUMINARII”



ISBN 978-83-973332-7-7



9 788397 333277